Rok I. Lwów, piątek 14. sierpnia 1908. Nr. 112.

GONIEC

2 centy — 4 hal.

Wychodzi codziennie o 12. w poł.
REDAKTOROWIE:
Stanisław Tokarski i Stanisław Brandowski.

PRENUMERATA:

We Lwowie:		Na prowincyi:	
miesięcznie	1·— K	miesięczn. z przes. pocztową	1·50 K
„ z odnoszeniem do domu	1·50 „	kwartalnie „ „	4·50 „
Numer pojedynczy . .	4 halerzy	Numer pojedynczy . .	6 halerzy

Zagranicą, 3 franki miesięcznie z przesyłką pocztową

Drobne ogłoszenia po 4 halerzy od wyrazu. | Redakcya: Lwów, Zimorowicza 17. Administracya: ul. Wałowa 6. | Ceny ogłoszeń: 20 hal. za 1-szp. wiersz pet.

Co dzień niesie

Dnia 7. września odbędzie się wybór do parlamentu jednego posła z I. okręgu miasta Lwowa. Jest to mandat opróżniony po św. p. Godzimierzu Małachowskim.

Mimo, że do wyboru trzy tygodnie tylko jeszcze, *publiciter* o kandydatach nic nie słychać. Ale tak kątokryjem dowiadujemy sie, że zamierzają się ubiegać o ten mandat dr. Dwernicki, dr. Grek, dr. Aschkenazy, prof Rydygier. radca d'Abancourt, no i socyaliści tentować chcą także o ten zaszczyt obywatelski dla... tow. Hausera.

Widzimy więc, że będą to bardzo wesołe wybory. Już jest sześciu kandydatów, sześciu jeszcze przybędzie, potem dziesięciu odpadnie, i ostatecznie rzecz rozegra się między kandydatem narodowo - demokratycznym a ludowcowym.

Nieomawiamy ani kwalifiacyi ani szans wymienionych powyżej kandydatów. Źle się jednak dzieje, że ci, którzy chcą kandydować, kryją się ze swoim zamiarem, jakby ta tajemniczość do czasu a wyskakiwanie w ostatniej chwili jak *deus ex machina* na arenę wyborczą było szczytem kunsztu dyplomatyczno politycznego.

Jednego z tych kandydatów pytaliśmy, dlaczego się nie zgłasza, naco gorzko odpowiedział:

— Mam czas. Jeszcze mi dość psa nawybierają!

Ano ma racyę. U nas się właściwie nie kandyduje. U nas się przedewszystkiem zwalcza współ- i kontrkandydatów. Usunąć i pognębić wszystkich, aby obywatele niemieli innego wyboru — oto kardynalna zasada, którą się u nas zwycięża.

U nas i na świecie.

(*Pielgrzymka ukraińska „w Kanossu". Moskalofile stawiają horoskopy. — Organizacya polska pod Prusakiem. — „Związek narodu rosyjskiego" zapuszcza sieci w Galicyi. — Zjazdy dyplomatyczne*).

Ukraińcy na seryo postanowili udać się „w Kanossu". Wszystkie pisma ruskie,nawet nieukraińskie żywo zajmują się tą sprawą. Jeden tylko organ naczelny ukraińców droży się i droczy. Nie na rękę mu to zapewne. Tak samo jak będzie nie na rękę porozumienie w kraju dla bardzo wielu „boryteli", zawodowych, utrzymujących się i gromadzących oszczędności ze swego fachu, agitacyi. Bo z chwilą osiągnięcia porozumienia cała

armia ukraińska

musi zejść z pola na „zimowe leże". Więc korpus oficerski i manszaft ukraiński z „Diłem" na czele musi obstawać przy status quo — logika bardzo prosta. Innego zdania musi być przyparty do muru sztab generalny wojującej Ukrainy. Tylko jedno im tu bedzie gryzącą solą w oku: Usunięcie się rządu od pertraktakcyi. Ukraińcy woleliby aby gadał z nimi sam rząd centralny bez mieszania się w to Polaków. Taka rzecz była jednak możliwa za rządów Koerbera, ale nie obecnie za rządów Becka, który nabrał istotnego przekonania o wartości ukraińskich polityków i ich tendencyach. Myśmy już donosili o tem, że bar. Beck oświadczył oficyalnie, — iż wcale do pertraktacyi mieszać się nie będzie. Mogą teraz ukraińcy rozbijać głowy o mur, mogą rozpaczać — nadaremnie. Jedyna została im deska ratunku — Kanossa. Mają jednak sprawę o tyle ułatwioną, że nie czekają ich w tej Kanossie podwoje zamknięte, ale szczera życzliwość chęć zgody i pokoju.

Organ moskalofilów *Galiczanin*, również zabiera głos w tej sprawie i bawi się we wróżbitę. Wedle jego „jasnowidzenia"

Polacy zamierzają antypruską manifestacyę w Sejmie

i dlatego pragną się z ukraińcami pogodzić, by ci nie robili im dysonansu.

Polowanie na małpy.



Zapominają jednak moskalofile o tem, że choćby do takiej manifestacyi w Sejmie przyszło i ukraińcy w zamian za ruski uniwersytet, wprowadzenie narzecza maloruskiego w szkołach i urzędach, zwiększenia liczby mandatów sejmowych i t. p. borb zaprzestali, nie mogliby oni oficyalnie Prusakom się narażać, boć przecie mają od tych Prusaków poparcie w rozmaitej formie — są najemnikami Prus.

Nowa pruska ustawa o stowarzyszeniach, dotkliwa dla prowincyj rdzennie polskich, jest wprost groźną dla kolonii polskich na ziemiach niemieckich. Drobne grupy emigrantów zarobkowych, ograniczone w możności porozumiewania się i organizowania w stowarzyszeniach, zagrożone są wynarodowieniem w stopniu daleko większym, niż do niedawna. Z tego powodu komitet centralny wyborczy polski, postanowił tworzyć

komitety polityczne

w okręgach liczniej zamieszkałych przez Polaków. Na początek utworzono komitet w Berlinie, gdzie przebywa kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Cele nowej organizacyi i sposoby jej działania streszcza *Dziennik Berliński*, jak następuje:

Zadaniem komitetu politycznego jest obywatelskie i narodowe uświadamianie Polaków na obczyźnie po prawym brzegu Łaby drogą wieców, odczytów, wykładów pouczających przez zakładanie Towarzystw i czytelń ludowych, przez wzmacnianie Towarzystw już istniejących, przez szerzenie odezw, druków i broszur ulotnych, wogóle za pomocą wszystkich legalnie dozwolonych środków, umożliwiających pracę nad uobywatelnieniem rodaków.

Dla ułatwienia i pogłębienia tej pracy tworzy komitet podkomitety, w Berlinie i okolicy Berlina oraz na Łużycach podług okręgów wyborczych parlamentarnych, w dalszych zaś okolicach wszędzie tam, gdzie żyje większa liczba Polaków. Podkomitety te, które wybierają sobie zarządy, prowadzą dzieło obywatelskiego i narodowego uświadamiania rodaków po właściwych okręgach wyborczych i okolicach, w których żyją większe grupy Polaków.

Nową pracę Polaków pod panowaniem pikelhauby zasyłamy serdeczne szczęść Boże!

Odbywający się obecnie w Kijowie

prawosławny zjazd misyonarski

na który spędzono z całej Rosyi metropolitów, biskupów, popów i mnichów stanowi najważniejszy wypadek w życiu publicznem Rosyi. Uchwalono tam cały szereg wniosków zmierzających do

rozszerzenia prawosławia,

i ograniczenia ukazu tolerancyjnego.

Uchwały te wzięli sobie natychmiast do serca galicyjscy moskalofile, spędzając chłopów ruskich do pielgrzymki do Poczajowa

po błogosławieństwo rosyjskich prawosławnych popów!

Jak z kompetentnych źródeł informują, całą pielgrzymką chłopską zaopiekuje się od samej granicy „związek narodu rosyjskiego“ złożony jak wiadomo z najskrajniejszych rosyjskich szowinistów. Będą oni próbowali namówić ciemnych galicyjskich chłopów do „misyi“ w rodzinnym kraju. A zatem niedługo możemy się spodziewać nowej kwestyi w Galicyi, kwestyi prawosławia. Ziarno rzucone!

Imperator Wilhelm gościł obecnie w Kronenbergu niedaleko Hamburga wujaszka

Edwarda VII.

Osobiste stosunki między Wilhelmem a tym wujem z za kanału były dawniej, jak wiadomo, bardzo naprężone. To przed rokiem — podczas wizyty niemieckiej pary cesarskiej w Windsorze — uległo podobno pewnej zmianie. Serdeczne, a nawet podobno familijno-czułe toasty, jakie tam zamieniono, miały poświadczyć przed światem, że znikły dawne osobiste nieporozumienia i niechęci i że nastąpiło zupełne pojednanie. Lecz to polepszenie się osobistego stosunku między tak blizkimi powinowatymi w niczem nie wpłynęło na stosunki polityczne między ich państwami, ani nawet na dalszą polityczną akcyę władcy angielskiego. Przeciwnie, mimo zjazdu w Windsorze, Edward II. snuł dalej swoje sieci, które miały zupełnie odosobnić Niemcy i pozbawić je dominującego do niedawna w Europie znaczenia. Ukorowaniem tej akcyi był zaś niedawny zjazd w Rewlu, podczas którego dyplomacyi angielskiej powiodło się rzekomo wciągnąć także Rosyę do tych antiniemieckich kombinacyj.

Aż oto wypadki w Turcyi zmieniły sytuacyę. Nastąpiło ponowne niby porozumienie w Kronenbergu, zapewne w takich samych ramach, jak ongiś w Windsorze, to jest osobiste stosunki obu panujących nie zmienią w niczem stosunku obu państw.

Król Edward udał się następnie w odwiedziny do cesarza austryackiego. Na razie nie wiadomo, jakie na zjeździe tym poruszano sprawy. Nie ulega wątpliwości, że będzie tam mowa o najżywotniejszych bieżących sprawach, jak przymierze Anglii, Rosyi i Francyi, reformy w Macedonii itd.

Chrońmy młodzież.

(Dokończenie).

Przechodząc do sprawy należytej opieki pozaszkolnej nad młodzieżą, trzebą raz sobie powiedzieć prawdę, że my po „galicyjsku“ staramy się zaradzić złemu.

Temat to zbyt poważny i obszerny, by go można wyczerpująco omówić w luźnym artykule dziennikarskim.

Zanotować jednak należy fakty, niejednokrotnie już stwierdzone we wszystkich naszych miastach.

Młodzież gimnazyalna i szkół realnych — niestety, wzorem wielu z grona młodzieży akademickiej a nawet za przykładem wielu ojców i wychowawców — uczęszcza wieczorami do obskurnych szynkowni, zapija się i gra w bilard. Publiczne domy rozpusty zaliczają do swych stałych gości studentów.

Zgubne skutki alkoholu dla młodego organizmu aż nadto są znane, by je tu opisywać. W całej Europie wystąpiono do walki z tym wrogiem ludzkości.

Np. w Anglii nawet słuchaczom uniwersytetów zabroniono uczęszczać do szynków. Akademik schwytany na gorącym uczynku musi opuścić wszechnicę. Szynkarzom, sprzedającym gorące napoje uczącej się młodzieży, władza odbiera koncesyę.

A czyż trzeba bliżej określać, ile młodzieży unieszczęśliwił dom rozpusty, brudząc i łamiąc kwiat młodości w wiośnie życia?

U nas z nielicznymi wyjątkami, młodzież szkolna niema prawie żadnego dozoru. Wprawdzie dyrekcye szkolne mają spis stancyi dla uczniów — ale przecież z tego nie mogą nic wiedzieć o dozorze w domu.

Stancye dla studentów utrzymują przeważnie wdowy, niżsi urzędnicy, rzemieślnicy, dozorcy domów. Trudno nawet od nich wszystkich wymagać, by byli pedagogami.

Więc młodzież używa swobody i buja — a owoc zakazany nęci.

Anglia i Francya takich stancyi niezna, Młodzież zamiejscowa mieści się pod należytą opieką w internatach, miejscowa u krewnych i rodziców.

Zanim jednak nasz biedny kraj zdobędzie się na dostateczną ilość takich burs i internatów, radzić sobie trzeba koniecznie inaczej. A chyba nie można nazwać zaradzeniem złemu, dotychczasowej działalności naszych Towarzystw czuwania nad obyczajnością młodzieży. Inicyatorowie mieli i mają niewątpliwie dużo zacnej woli i serca. Ale niestety, po galicyjsku się to wszystko kończy. Są prezesi, wydziały, sekretarze — sporo zgromadzeń, reklamy dziennikarskie i — cicho. Chyba ten rezultat, że ten i ów z zareklamowanych „opiekunów“ dostanie dobrze płacącego, bogatego studenta na stancyę i robi na tem interes.

Zresztą towarzystwa takie mogą spełnić tylko funkcye doradcze, ale nie kontrolę młodzieży. Na wzór Anglii powinno państwo utworzyć policyę szkolną — ale nie polityczną, tylko obyczajową, podlegająca przełożonym zakładów naukowych.

Ale nie można się łudzić, by w Austryi prędko do tego przyszło, bo austryackie ciało ustawodawcze, tak zwany ludowy parlament, ma na myśli więcej zdobycze „polityczne“ poszczególnych klubów — aniżeli załatwienie najżywotniejszych zagadnień życia społeczno-kulturalnego.

Przeto na razie powinno się wywrzeć nacisk na starostwa i gminy, by one we własnym zakresie działania wydały i surowo przestrzegały zakazu sprzedawania studentom gorących napojów, przebywania w lokalach publicznych i wpuszczania młodzieży nieletniej do domów rozpusty pod grozą wysokich grzywien i utraty koncesyi.

Jednakowoż nad przestrzeganiem takiego zakazu niechaj czuwają nietylko organa bezpieczeństwa. Niechaj z nimi współdziałają wszystkie te jednostki społeczne, które rozumieją ważność dobrego wychowania młodzieży i — tę młodzież naprawdę kochają.

Strzeżmy młodzież!

Prawdzic.

Kartki z podróży.

Miramare, 8. sierpnia 1908.

Ludzie wszystkich narodowości zwiedzają cudowną, przepyszną, siedzibę cesarską w Miramar.

Nieszczęśliwy Maksymilian nagromadził tu, w całym świecie zebrane.

EMIL GABORIAU 11

Akta kryminalne

pod liczbą 113.

Przytem wcale się nie nudził. Zgłębiał wartość swoich odkryć, szanował je i jak owa wieśniaczka z garnkiem mleka na sprzedaż, budował świetną przyszłość dla siebie na fundamentach tego planu.

Nareszcie około pierwszej godziny, ajent bezpieczeństwa ujrzał, jak Cavaillon wstał, przebrał się do wyjścia na miasto i wziął za kapelusz.

— Wybornie! — rzekł — nasz Merkury wychodzi, baczność!

W rzeczy samej, w chwilę potem Cavaillon zjawił się w bramie domu. Zanim wyszedł, spojrzał na prawo i na lewo; zawahał się.

— Czyżby się czego obawiał? — pomyślał Fanferlot.

Tak nie było. Młody komisant mając interes do załatwienia, a nie chcąc, aby jego nieobecność była spostrzeżoną, namyślał się jaką drogę wybrać, żeby się sprawić jak najkrócej.

Zdecydował się nareszcie. Poszedł na przedmieście Montmartre, stamtąd na ulicę Notre-Dame-de-Lorette. Szedł prędko nie troszcząc się wcale co o nim powiedzą potrącani przechodnie; ajent bezpieczeństwa z trudnością za nim zdążał.

Gdy już był na ulicy Chaptal, Cavaillon zatrzymał się i wszedł do domu pod l. 39.

Zaledwie zrobił parę kroków w korytarzu, poczuł się schwyconym za ramię, a odwróciwszy się raptem, spotkał się z Fanferlotem oko w oko.

Poznał go natychmiast, zbladł, cofnął się, szukając oczami miejsca do ucieczki.

Lecz ajent bezpieczeństwa przewidział to; zagrodził mu sobą odwrót. Cavaillon czuł się schwytanym.

— Czego pan chcesz odemnie? — zawołał drżącym ze strachu głosem.

Co najwięcej Fanferlota, zwanego Wiewiórką, odznacza pośród kolegów, to jego nadzwyczajna łagodność i uprzejmość.

Nawet ze swymi klientami jest grzecznym, traktuje ich z największą oględnością, zachowując wszystkie drobiazgowe formy przyzwoitości nawet wtedy, gdy ich chwyta i wiąże.

— Chciej pan — rzekł — wybaczyć mojej śmiałości, że się łaskawego pana zapytam o pewne maleńkie objaśnienie...

— Mnie o objaśnienie?

— Tak jest, kochany panie, pana Eugeniusza Cavaillon.

— Ależ ja pana nieznam.

— Oh! przeciwnie; widziałeś mię pan dziś rano. Idzie tu zresztą o małą drobnostkę, może pan zechcesz podać mi rękę i wyjść na chwilę ze mną, zaco panu będę mocno obowiązany.

Cóż było robić? Cavaillon podał mu rękę i wyszli razem.

Ulica Chaptal nie jest jedną z tych dróg hałaśliwych i pełnych ruchu, gdzie powozy stanowią dla pieszych ustawiczne niebezpieczeństwo. Jest tam kilka tylko sklepów, a od rogu ulicy Fontaine, zajętej przez aptekę, aż do ulicy Leonie ciągnie się długi mur przebity tu i ówdzie maleńkiemi okienkami; oświetlającemi pracownie stolarskie.

Jest to jedna z tych ulic, na których rozmawiać można swobodnie, nie zstępując co chwila z chodnika; więc Fanferlot i Cavaillon mogli swobodnie prowadzić dyskurs.

— Rzecz chodzi o to, kochany panie — rzekł ajent bezpieczeństwa; — pan Prosper Bertomy rzucił panu dziś rano bardzo zręcznie bilecik.

Cavaillon przeczuwał, że będzie badany o ten bilecik; usiłował więc przygotować się i mieć na baczności.

— Mylisz się pan — odrzekł czerwieniejąc po same uszy.

— Przepraszam! — przykroby mi było to udowadniać panu, ale ja zwykle pewien jestem tego, co mówię.

— Zapewniam pana, że Prosper nic mi nie dał.

— Bądź pan łaskaw nie zaprzeczać — nalegał Fanferlot. Zmuszasz mię do przekonania cię, iż czterej koledzy widzieli, jak Prosper rzucił ci bilecik napisany ołówkiem, bardzo drobno zwinięty.

Młody komisant zrozumiał, iż na nicby się nie zdało stawiać zaprzeczenie człowiekowi tak doskonale świadomemu; zmienił więc system.

— Niech i tak będzie — rzekł — odebrałem bilet od Prospera, ale że on był pisany do mnie samego, więc po przeczytaniu podarłem go i szczątki rzuciłem w ogień.

Mogło to być prawdą. Obawiał się tego Fanferlot, ale skąd pewność? Przypomniał sobie, że najprostsze podstępy są częstokroć najskuteczniejsze, ufny więc w swą szczęśliwą gwiazdę, rzekł na wszelki wypadek;

— Pozwolę sobie zwrócić pana uwagę, ze w tem jest niedokładność; bilet ten został ci powierzonym dla wręczenia go osobie Gypsy.

Rozpaczliwy gest Cavaillona dał znać ajentowi, że się nie mylił: odetchnął.

— Przysięgam panu... — począł młodzieniec.

— Nie przysięgaj pan — przerwał Fanferlot — przysięgi wszelkie na nic się nie zdały. Pan nie tylko, że nie podarłeś tego biletu, ale wszedłeś do tego domu, by go oddać komu należy i masz go w kieszeni.

— Nie, panie, nie!...

Fanferlot niezważając na zaprzeczenie, mówił dalej słodkim głosem.

— I będziesz tyle uprzejmym, że pokażesz mi ten bilet, mam mocne przekonanie... Wierz mi pan, że gdyby nie gwałtowna konieczność...

— Nigdy! — odparł Cavaillon.

A sądząc, że nadeszła właściwa chwila, szarpnął się, by wyrwać ramię z pod rąk Fanferlota i uciec.

Ale pokuszenie było daremne. Fanferlot jest równie silny jak słodki.

— Ostrożnie, byś sobie krzywdy nie zrobił, mój młody panie — rzekł urzędnik prefektury — wierzaj mi, pokaż ten bilet.

— Niemam go.

— Cóż robić! Zmuszasz mię do przykrych ostateczności. Czy wiesz co nastąpi wskutek twego oporu? Zawołam dwóch policyantów, którzy wezmą cię pod ręce i zaprowadzą do komisarza policyi, a tam będzie mi bardzo bolesno zrewidować cię mimo woli. Wierzaj mi pan, sprawiasz mi tem zmartwienie.

(C. d. n.)

liczne rzeczy godne uwagi i widzenia. Setki drogocennych pamiątek rozmieszczono w przepysznych salonach zamku, obrazy najsławniejszych mistrzów świata zdobią ściany, pokryte drogocennymi adamaszkami i gobelinami.

Wszystkie te nieoszacowane skarby (za jeden obraz Rembrandta dawano ćwierć miliona kor.) wraz z widokiem z terasy wynurzającej się z fal Adryatyku, na pełne morze, tudzież na olbrzymi park, ozdobiony południowymi krzewami i drzewami, na otwarte partye pokryte kobiercami najwspanialszych kwiatów — są jakby jakimś czarem wyśnionym w bajce, i tworzą istotnie królewską siedzibę z niezrównanie poetycznem otoczeniem.

Kto patrzy na te cuda, które przyroda, wspomożona ręką ludzką, dokoła tutaj roztoczyła, musi przejąć się nieopisanym zachwytem.

A ta cisza majestatyczna! Jakimż spokojem tchnie każda alea ogrodowa, jak niewidzialną jakąś falą zwiewa się z każdej terasy i spływa w pierś słodkiem ukojeniem.

Pod tchnieniem tych fal łagodnieją bóle starganej duszy, milkną tęsknice, i jak mgły poranne pierzchają żale z goryczą przepełnionego serca.

Dziwne jakieś uroki kładą się na oczy — aż opadają zmęczone powieki z uczuciem wielkiej ulgi i słodkiej niemocy.

Dobry spoczynek dla duszy i serca.

A ileż zdrowia wszędzie na każdym kroku, dla ciała.

Powietrze przeczyste, bez jednego pyłku kurzu, woda aromatyczna, już samym widokiem swoim orzeźwiająca, dobra kuchnia, książki, gazety i... co najważniejsza... wszystko bez wrzawy i zgiełku ludzkiego bez szeleszczących jedwabi — piętrowych kapeluszy, bez intryg i rywalizacyi wielkoświatowej, bez szumu, piany, blasku, blichtru, szychu, wykpigroszowstwa i złodziejstwa międzynarodowego.

Takiem jest M i r a m a r — ze swoim pensyonatem G r i g n a m, gdzie najwyżej trzydzieści rodzin może znaleźć umieszczenie.

Trzydzieści rodzin, mój Boże, taki mały światek, a przecież zbieraniną jesteśmy z całego świata.

Najlepiej to poznać przy objedzie lub wieczerzy.

Oto tu, przy stole zasiadła cała serbska rodzina — składająca się z dwóch głów rodzicielskich i trzech małych półgłówków; po prawej ręce rozparł się w krześle bankier węgierski z żoną dwumetrowej objętości, a obok niego jakaś poważna mama, nieznanej mi dotąd przynależności narodowej (zdaje się, że Czeszka) z czworgiem okropnych zamurdzanych wisusów, dalej czwórka Włochów, opodal niego młoda para francuska.

Obok polskiego stołu, przy którym niestety tylko dwie osoby siedzą — zajęły miejsce cztery hakatystyczne sufrażystki, które się odrazu zwąchały i przylgnęły do siebie, choć z czterych krańców państw bojaźni Bożej zapaszek swój aż tu przyniosły.

Jakim sposobem znalazły się przy jednym stole — pozostanie to tajemnicą Grignańską, dość że Karlsruhe Berlin — Aussig i Poczdam podały sobie ręce od wczoraj i piekielną niemiecką wrzawą a bezczelnymi wprost uwagami i śmiechem napełniają całą terasę, na której spożywamy dary Boże.

Tatałajstwo to pyskate z obstrzyżonemi głowami, ustrojonemi w cudackie pruskie kepi — nie przyjechało razem. Co drugi dzień po jednej wypluwał okręt u brzegów Miramarskich, czwarta i daj Boże, by ostatnia przyjechała onegdaj.

Z tą zaznajomiłem się; jak zwykle przychodzimy o pierwszej godzinie na objad do swojego stolika. Jeden rzut oka wystarczył mi, a zawołałem z niekłamaną radością.

— Przecie nakrycie, chwała Bogu, przybywa Polonii.

Zasiadamy i czekamy na towarzysza czy towarzyszkę z nad Wisły, Sanu czy Bugu.

Za chwilę nadchodzi korpulentna dama i nie mówiąc ani słowa — zasiada sobie koło mnie.

Usuwam się grzecznie, i patrzę badawczo.

— Polka nie Polka, myślę, gęby nie otwiera, przeciwnie usta zacisnęła i patrzy z podełba na człowieka, jak by nim chciała posolić zupę.

Widzę, że zaczyna oczyma niby czegoś szukać na stole.

— Czem mogę Pani służyć? pytam uprzejmie.

Na dźwięk mego głosu, zwróconego wprost do niej, takim obrzuciła mię wściekłym wzrokiem, że gdybym się był nie roześmiał, to byłbym skamieniał. W jej oczach malowała się taka nienawiść, taka jadowitość żmiji, że odsunąłem się na kraj stołu.

Objad dalszy spożyliśmy w milczeniu — a z rozmowy z kelnerem i akcentu poznałem zaraz, że to nie nasza trzecia, lecz pewnie czwarta od hakaty; gdy zaś poobiedzie zawiązała rozmowę z tamtemi trzema — byłem już pewny, że to prusaczka i dziwiłem się tylko, dlaczego Zarząd hotelu obdarzył nas jej towarzystwem.

— Niech jednak będzie i dyabłu świeczka — pomyślałem — biedni Poznańczycy mają tych pludrów i w dzień i w nocy na każdym kroku i miejscu.

Pal cię licho!

Lecz wieczorem przy kolacyi stało się coś dziwnego.

Zasiadła znowu przy nas. Naturalnie nie zwracając się wcale do współtowarzyszki przypadkowej — rozmawiamy sobie głośno po polsku i śmiejemy się także tak sobie serdecznie, po polsku.

Wierciła się prusaczka jakby jej soli w rozdęte nozdrza sypał — rzucała nożem, widelcem — patrzała na nas jak pies, który chciałby ugryźć — lecz niewie z której zajść strony. Wreszcie zerwała się, chwyciła swoje nakrycie w drżące ręce, obrzuciła nas takiem spojrzeniem, jakby była co najmniej landdragonem pruskim i z furyą przerzuciła się do stołu, mrugajacych wciąż na nas, krajanek, sycząc przez szczękające zęby.

— *Das ist grob, gemein, nicht zum aushalten!*

Podrzuciło mną.

— Poczekaj kanalio — dam ja ci *grob* i *gemein*, błyskawicą olśniła mię myśl odwetu.

Powstałem spokojnie, ująłem w rękę talerz, króry pozostawiła, położyłem nań jadłospis, obok wykalaczek, i z wyszukaną, na jaką mię tylko stać było, grzecznością, pozostawiłem to wszystko przed zaciekłą prusaczką.

— *Was ist-en das?* wrzasnęła,

— *Das vergessene H. K. T.*

Wytrzeszczyła na mnie jaszczurcze ślepia — a towarzyszki jej mało się niepodławiły ze zgrozy.

Była chwila milczenia.

— **Holz-karte und Täler** — objaśniłem z uśmiechem, wskazując każdą rzecz palcem i kładąc przycisk na pierwszą literę.

Potem ukłoniłem się trochę drwiąco i powróciłem do nadpoczętej już polędwicy.

Stanisław Tokarski.

Gwałt na Łyczakowie.

Za łyczakowską rogatką są liczne kopaliska piasku, kamienia betonowego itd. Tamtędy przechodziłem.

Nagle słyszę nieludzki wrzask:

— Rany Boga! na pomoc! ratujcie ludzie!

Z tej strony, z tamtej strony i z jeszcze innej strony poczęli wszyscy biegnąć w tę stronę, skąd wrzask dochodził.

— Co jest? co się stało? — posypały się pytania.

Nad jednem kopaliskiem stał człowiek, i wskazując na obruszony piasek, wołał:

— Zasypało jakiegoś robotnika!

Rzeczywiście z kupy świeżo poruszonego piasku sterczała łopata i jakaś kapota, a opodal leżała czapka.

Zrobił się ruch. Ci, co się zbiegli, poczęli na gwałt wygarniać z dołu piasek. Pracował każdy tem, co miał pod ręką. A więc były dwie łopaty, parę desek krótkich, jakaś stara blacha, jakaś kielnia, a inni nawet garściami wygrzebywali piasek.

Chciałem i ja pomódz, ale już tam tyle pracowało luda, że dla mnie nie było miejsca.

Wydobyto kapotę i kopano zawzięcie dalej w piasku, ale zasypanego niemożna się było jakoś dogrzebać. Powstał dół, wielki, coraz większy, ale w nim ani śladu człowieka.

Aż ów, który gwałtu narobił, podrapał się frasobliwie w głowę i rzekł:

— Może mi się uwidziało tylko. Jakem obaczył rydel i kapotę pod piaskiem, takem sy myślał, czy kogo nie nakryło jak piasek podbierał...

Powstała konsternacya.

— Ta czegoś wrzeszczał, skoro nie widziałeś, batiaru zatracony! — odezwał się jeden robotnik ocierając łeb i kark z rzęsistego potu.

— Szlak by cię trafił! — zaklął drugi.

— Choroba dopiru! — wymyślał trzeci — gwałtuje i naród straszy, a sam niewi, czego...

Posypał się jeszcze grad wymyślań, najpierw ulewny i soczysty, potem coraz rzadszy, coraz wodnistszy, aż ludzie się rozeszli i wszystko ucichło.

Na miejscu wrzekomej katastrofy pozostałem ja tylko i ów alarmownik. Ten ostatni siadł na zrębie dołu, zapalił fajkę i siedział.

Siedział tak dobry kwadrans, aż nadszedł jakiś waszeć w surducie, z kijem okutym i gąbczastym nosem.

— I cóż tam, Walenty, wykopaliście dół? — zapytał przybysz palącego fajkę robotnika,

— A ino! Nawet większy, niż mnie pan zgodził.

Waszeć obejrzał wykopaną jamę i okazał wielkie zadowolenie.

— No, no! Bez jedno popołudnie... toście widać niepróżnowali. Macie guldena.

— Bóg zapłać panu.

Po tych słowach robotnik wdział kapotę i poszedł. Drugi oddalił się ów waszeć, a ja trzeci.

Tarapaty nieboszczyka.

(Na posiedzeniach spirytystycznych zaprotokołował nasz reporter).

XXI.

Prusacy nie byli przygotowani na taką odpowiedź za swoją dla mnie przyjaźń. Rozlecieli się, jak gawrony, na wszystkie boki, a gawiedź piekielna, widząc moją osobistą do Prusaków animozyę, zmitygowała się, ale tylko na chwilę. Niebawem zwołały sufrażystki piekielne (których tu jest ogromna liczba) wiec obywatelski, na którym po burzliwej dyskusyi uchwalono następującą rezolucyę:

1) Zważywszy, że od czasu istnienia państwa piekielnego nikt na jego terytoryum się nie urodził, że w państwie niema i wcale nie potrzeba dzieci, że ponadto na żadnym globie świata, ani w piekle, ani w niebie od stworzenia świata mężczyzna nie był matką — obywateli i obywatelki wzywają królewsko-lucyperowski rząd, ażeby w sprawie najnowszego, skandalicznego wypadku z przybyszem lwowskim przedsięwziął jaknajostrzejsze dochodzenie.

2) Wiec wzywa królewsko-lucyperowski rząd, ażeby na przyszłość u bram państwa umieścił specyalną lekarską ekspozyturę celem rewizyi przybyszów z Prus, u których zachodzi silne podejrzenie niemoralnych wypadków.

3) Wiec wzywa rząd, aby nieszczęśliwego lwowianina ze społeczności piekielnej natychmiast wykluczył i poza granice wypędził“.

Nastąpiło kilkadziesiąt milionów podpisów.

Skutek rezolucyi był zadziwiająco szybki. Już w parę godzin po rozejściu się wiecu przysłały mi władze do boku stróża w osobie jego dyabelskiej mości Bykusa. Bykus, to bardzo porządny dyabeł. Wypytywał mnie troskliwie o zdrowie, o stosunki lwowskie. Dowiadywał się, kogoby to warto ze społeczności lwowskiej wyrwać. Najbardziej wypytywał się o niejakiego Breitera, którego ja niestety nie znałem. Potem wypytywał o komisarzy policyjnych, o rajców magistrackich. Wspominając o komisarzach Łukomskim i Łysakowskim, mlasnął kilka razy czerwonym językiem.

— Tacyby się nam przydali, lecz nie dla nas to kąsek. Nie opłaci się kusić ich nawet. Zato z terenu magistrackiego spodziewają się wiele. Dziwna rzecz, że dyabli nie mają wielkiego apetytu na szumowiny z Zamarstynowa, Żółkiewskiego, Kleparowa itd.

— To brzany — powiada dyabeł. Prędzej czy później same nam do gardła zalecą. Nam chodzi o grube ryby, które wymknąć się mogą

Do średnich zdobyczy zaliczają dyabli także kamieniczników. Po jednego nawet się nikt fatygować nie chce, a dopiero fatyguje się ekspedycya na obfitszy połów. Teraz więc rozumiem, dlaczego o mnie niewiele się dobijali.

Poczciwe dyablisko chodziło ze mną krok w krok po różnych zakamarkach piekielnych, okazując mi katusze potępionych. Dopiero teraz poznałem, co to znaczy piekło. Opiszę je panom następnym razem.

(C. d. n.).

Naokoło świata.

(Sen pod wodą. — Nowoczesny Herostrat. — Rekord sceniczny Sherloka Holmesa. — Rywale).

Jednym z najpotężniejszych statków wojennych Anglii i świata wogóle jest pancernik „Dreadnought“. Przed kilku dniami czyszczono go; w celu zaś usunięcia ze skrzydeł śruby okrętowej morskiego ziela, spuszczono w morze nurka. Długo on nie wracał; posyłano mu sygnały telefoniczne i linowe, nie było jednak żadnej odpowiedzi.

Na powierzchnię zaś wypłynęły po kolei wielka szczotka do czyszczenia i inne przybory; zaniepokojony oficer dyżurny wysłał wtedy drugiego nurka i ten przesłał na pokład humorystyczną wiadomość telefonem: Gałgan spał cały czas pod wodą! Załatwił się szybko z robotą, a następnie wypoczął sobie na potężnem skrzydle śruby. Spał tu spokojnie, a tylko ryby, zwabione elektryczną lampą nurka, kręciły się wokół niego.

Oficer okrętowy był tak ubawiony tą sceną, że nie ukarał nawet samego nurka.

*

O mało nie doszło do wielkiego nieszczęścia przy pożarze prochowni w Milhaud. Ugaszono go bowiem, nim zajęły się właściwe składy prochu. Całe zaś olbrzymie niebezpieczeństwo wynikło z manii wielkości pewnego robotnika, który pragnął stać się w ten sposób na cały świat sławnym i podłożył ogień.

*

Według statystyki, ogłoszonej w gazetach francuskich miał udramatyzowany „Sherlock Holmes“ następujące powodzenie na scenach różnych krajów: Ameryka, Klondyke, Filipiny 3200 przedstawień, Anglia, Australia, Kanada i angielskie kolonie 1000, Niemcy i Austro-Węgry 500, Włochy i Grecya 600, Japonia i Chiny 600, Hiszpania i Portugalia 500, Francya, Belgia i Szwajcarya 700, Rosya i Syberya 400, Turcya i Rumunia 200.

Razem więc wystawiono ten unikat sceniczny 11.300 razy!

Dyrektor pewnego zakładu dla obłąkanych w Anglii oprowadzał po nim przygodnych turystów. Na ławce w ogrodzie siedział jakiś chory, pogrążony w niemej melancholii. „Człowiek ten“ — objaśniał dyrektor — zwaryował skutkiem nieszczęśliwej miłości. Żona go „zdradziła i poszła za innego“. „Jaki on niezwykle spokojny“ — zauważyła pewna dama. Potem przyszło całe towarzystwo do oddziału furyatów.

Tam w jednej celi szalał za mocnemi kratami jakiś tak przerażający waryat, że krew stygła w żyłach. Dyrektor zatrzymał się przy tych drzwiach, i pouczył turystów: „To jest człowiek, którego poślubiła żona tamtego...“

Nieco o charakterze sułtana.

Zajmującą charakterystykę sułtana Abdul-Hamida II. podaje jeden z angielskich tygodników. Piszą w nim:

Żadnemu z władców nie robiono tylu zarzutów, co sułtanowi. I rzeczywiście, jest Abdul-Hamid różnorodną mieszaniną męstwa i tchórzostwa, skrytości i prostoty. Z powodu tej różnorodności trudno też sobie wyrobić pojęcie o prawdziwym jego charakterze. Jak każdy samowładca pełen jest trwogi o swoje życie i grube sumy wydaje na „ochranę“ swej sułtańskiej osoby. Na tle tego strachu zdarzył się raz śmieszny fakt. Sułtan był właśnie w drodze do meczetu, gdy nad drogą ujrzał nowe druty telegraficzne na nowych słupach. Obawiając się jakiego zamachu w swej wschodniej wyobraźni, nie ruszył dalej, nim nie obcięto drutów i nie obalono świeżych słupów. I na ustawienie tej nowej linii telegraficznej nie pozwolił już nigdy. Nieograniczoną zaś i dziecinną niemal żądzą władzy sułtana charakteryzuje fakt taki: Abdul-Hamid posiadał bardzo mądrą papugę, która zdumiewająco naśladowała głos swego pana. Raz wykrzyknęła ona imię jednego z ulubieńców sułtana, który też zaraz wszedł, sądząc, że sam pan go woła. To rozgniewało sułtana do tego stopnia, że uśmiercił na miejscu bezmyślnego ptaka, wołając: Tylko ja mam tu do rozkazu!

Jednakże posiada ten „chory człowiek“ na tronie sułtańskim i wiele łagodności w swym szerokim, iście wschodnim charakterze. Wie coś o tem jego najbliższe otoczenie. Jego cierpienia fizyczne uczyniły go czułym i na cudze cierpienie, i tem uczuciem powodowany założył sułtan z własnych funduszów wielki szpital, leczący bezpłatnie szczególnie kobiety i dzieci, a nawet chorych cudzoziemców.

Zdolności dyplomatyczne posiada Abdul-Hamid w wysokim niewątpliwie stopniu, tembardziej, że opierają się na wschodniej chytrości i przebiegłości. Przemawia zatem poniższe zdarzenie z jednym z europejskich posłów w Konstantynopolu. Dyplomata ten był raz o tyle niedyskretnym, że starał się koniecznie zaglądnąć do starannie zasłoniętego powozu dworskiego. Urzędnik dworski, towarzyszący pojazdowi, dał wyraz swemu oburzeniu i zaznaczył je na twarzy ciekawego posła. Ten zgłosił się natychmiast na audyencyę do sułtana z zażaleniami. Wiecznie skrzywiony Abdul-Hamid przemówił następująco do oburzonego dyplomaty: „Jesteś pan europejskim gentlemanem i ja nie mogę przypuścić, abyś pan się posunął do takiego występku przeciw przyzwoitości. Wykluczonem więc, jest, aby zato śmiał pana uderzyć dworski urzędnik, i całe zajście musi polegać na nieporozumieniu z pańskiej strony. Nie mówmy więc o tem więcej“.

Twierdzą, że poseł nie odezwał się już ani słowem.

Terror socyalistyczny przed sądem.

Nasz korespondent donosi z Krakowa:

Znany napad uliczny w Krakowie na dziennikarza p. J. Rychtera, znalazł epilog na rozprawie sądowej, która odbyła się wczoraj w c. k. sądzie powiat. karnym wobec sekretarza sądu kraj. p. J. Zawilskiego. Wyrokiem sądu skazany został niejaki Mikołaj Kozłowski na 14 dni aresztu, bez zamiany kary na grzywnę, a w motywach wyroku podniesiono, że skazany wykonał napad na J. Rychtera za jego artykuły przeciwko partyi socyalistycznej w dziennikach zamieszczane w tym celu, aby go steroryzować i zmusić do zaprzestania dalszych wystąpień, szczególniej przeciw Daszyńskiemu.

W czasie rozprawy wyszło na jaw, że Kozłowski jest Rusinem i będąc członkiem ruskiej partyi socyalistycznej — urządził w Krakowie próbę hajdamaczyzny na własną rękę.

To właściwe tło polityczne ulicznej napaści, dotychczas w Krakowie niepraktykowanej — podniósł z naciskiem zastępca oskarżyciela prywatnego adw. dr. Mikiewicz i wystąpił w końcowem swem przemówieniu w obronie wolności słowa i przekonań tak pogwałconych przez graniczący ze zbrodnią napad, któremu to przekonaniu sąd w motywach wyroku dał pełny wyraz.

Mamy nadzieję, że wyrok ten będzie skuteczną przestrogą dla partyi, która tak lubi przechwalać się wolnościowymi frazesami, a walczy terrorem i napaścią uliczną.

(Cieszy nas, że nasz krakowski korespondent ma nadzieję utemperowania się socyalistów. My tej nadziei wcale niepodzielamy. Skazanie jednego draba na 14 dni kary nie jest środkiem wystarczającym na umitygowanie całej bandy).

Światłe uwagi Brillat-Savarina.

Przed kilku dniami pisaliśmy o przyzwoitem zachowaniu się przy stole. Dziś podajemy za paryskim *Gil Blasem* parę szczegółów o tem, jak dawniej biesiadowano i czego wymagano od biesiadników.

Dawny zwyczaj długiego i obfitego biesiadowania zdaje się zwolna i dzięki Bogu zanikać. Ojcowie nasi i dziadowie widzieli w smacznej biesiadzie jedną z najwyższych rozkoszy istnienia. Posiadali oni więcej czasu, i byli nawet większymi materyalistami, niż ludzie dzisiejsi. Byli wolni od wyczerpujących walk o byt i ze spokojem i dobrodusznością sytych rozkoszowali się dobrem jedzeniem i piciem. Zajmowały ich żywo dobre przepisy kuchenne, a Francuz Brillat Savarin zyskał sławę ułożeniem kodeksu wytwornej kuchni.

Sądzimy, że nie zawadzi przytoczyć parę złotych reguł z jego dzieła. Kto więc zmuszony jest od czasu do czasu przyjąć gości, niech posłucha zajmujących rad doświadczonego Francuza.

„Niech nigdy nie zasiada wiecej nad 12 osób do stołu biesiadnego, aby rozmowa była ciągle ogólną. Mężczyzn trzeba dobierać bystrych i dowcipnych, a nie latających za wysoko, damy zaś miłe i nie zawiele kokietki. Światła niech będzie obficie, nakrycie stołu niech się lśni od czystości. Wybór potraw winien być pierwszorzędny, liczba ich jednak nie zaduża; wina pierwszej marki. Kawę każ podawać gorącą, likiery postaw pierwszej jakości. Przed jedenastą niech wszyscy się bawią jeszcze swobodnie, o północy jednak powinni już wszyscy być w łóżkach“.

Tyle wymaga Brillat-Savarin od biesiady i biesiadników. Dodamy jeszcze parę jego aforyzmów o jedzeniu i sposobach jedzenia, które charakteryzują wiek ówczesny: „Tem, czem świat jest, jest tylko przez życie na ziemi, wszystko zaś, co tu żyje, musi się odżywiać. Zwierzęta nażerają się człowiek je, ale tylko człowiek z wyższym umysłem umie jeść.

Los narodów jest często zależnym od tego, jak się one żywią. Powiedz mi co jadasz, a powiem ci, czem jesteś. Stół jest jedynem miejscem, gdzie się człowiek nie nudzi w ciągu pierwszej godziny. — Wynalezienie nowej potrawy przyczynia się więcej do szczęścia ludzkości, „niż odkrycie nowej gwiazdy“.

Widzimy więc, że czasy, kiedy tak można było pisać bez narażenia się na śmieszność, zasługują rzeczywiście na miano „dawnych, złotych czasów“.

Przeznaczenie...

(Obrazek z pod Babiej Góry).

Sobek Jahyra tęgi był chłop, a uczony jak rzadko i drugim ludziom dobrze życzący zawsze. Już od szóstego roku począł harować. Zrazu pasł gęsi na „kamieńcu“, gdzie, co prawda trawy nie było, a tylko kamień koło kamienia i kręta, rwąca struga wody pośrodku. Sobek nie rad patrzał, jak gęsiska biją skrzydłami o wodę i tracą pierze. Zbierał je troskliwie i do domu zanosił. Już wtedy wróżono, że z Sobka będzie nielada gazda. Potem Sobek poszedł za bydłem „na działy“. Strugał klatki, łyżniki, zbierał jagody i grzyby i do dworu zanosił, a pieniądze otrzymane dawał ojcu to na sól, to na inne potrzeby.

A gdy na parobka wyrósł — ojciec gazda nie posiadał się z uciechy. Sobek z koniem zarabiał, jak ino zima nastała. Zarabiał i w lecie, a wszystko „do kupki“ oddawał. Nie pił wódki, nie trwonił grosza, a tylko na „tabak“ czasem wydał dutków parę lub na weselu miedziaka wrzucił w basy, aż dzwoniło. Chcieli go wziąć w rekruty — na trzy lata — ale ojciec go zreklamował. Wybył cosi młodzian ze dwa miesiące przy rezerwie i wrócił ożenić się.

Ojciec ogromnie z tego był rad. Synowa wniosła na gospodarstwo trzynaście stówek. Sobek będzie najpierwszym gazdą w całym powiecie.

Sobek, ożeniwszy się harował ze zdwojoną energią, a stary, pykał fajeczkę i zacierał ręce na widok mnożącego się mienia.

Aż oto nastały słotne, nieznośne dni. Innie ludzi siedzą w domu, ziewają, śpią, wyzierają pogody — Sobek nie zadarmuje. Zładował wóz i pojechał na działy ścinać świerki. Wyzierała go żona z obiadem oczekując do wieczora. Nie przyjechał.

Stary zarzucił cuhę na plecy i poszedł sprawdzić, co się stało. Wrócił późną nocą, przywożąc na wozie zamiast śmigłego świerka, zastygłego trupa z rozbitą czaszką.

Młoda wdowa poczęła tak głośno zawodzić, że wszyscy sąsiedzi się pobudzili i przybiegli z ratunkiem, którego jednak nie było potrzeba. Stary Wojtek komornik w małej chałupce nad rzeką, przybył zawezwany, umył zwłoki, ubrał a rodzina przystroiła ławę w świetlicy i złożyła nieboszczyka zapalając dwie gromnice, z braku innych świec pod ręką. Ojciec po ukończeniu tej czynności, usiadł na progu i w tej postawie pozostał przez noc i aż do południa.

Gdym na tego starowinę popatrzył, wydał mi się on drugim, ale cokolwiek żywym nieboszczykiem. Oczy o szklanym połysku, patrzyły przed siebie nieruchomo, na ustach zastygł ból, w dziwny wyraz, jaki odczytać można na starych, marmurowych posągach.

Ludzie schodzący się na pacierz, omijali go w progu tak, jak się omija bryłę kamienia leżącego na ścieżce. Na zapytania nieodpowiadał, na nikogo uwagi nie zwracał. Dopiero spostrzegłszy mnie — pocieszył się. Widocznie wzrok mój, spoczywający dość długo na jego twarzy, zbudził go z odrętwienia. Milczące usta poruszyły się, na czole zarysowała się obszerna brózda, zadrgały w nim nerwy. Przemówił.

— Dziwujecie sie?

— Cóż znowu... żal mi was... serdecznie z wami współczuję...

— Bóg zapłać. Ale, wicie, trudna rada... To syćko bez przeznaczenie!... Tak se wymiarkowałek.

Wstał, wyprostował zgarbione plecy.

— Maryś, masz co zjeść?

Synowa szybko pobiegła do komory, wyniosła garnek mleka i postawiła na kamieniu przed chatą.

— Tu podźcie — rzekła i poszła dalej klęcząć u zwłok.

Stary się przysiadł do garnka.

— Siednijcie se, panie. Lekcej mi bee na sercu, kie ze mnąm pomówicie. Wy pewnie wicie, co to przeznacenie, uconyście, kie ksiądz.

Wzruszyłem ramionami.

— Wieciewy ta, ino nie tak, jako jo. Ja wom to zera opowiem, a wymiarkujecie co myślem. Był hań w Zubrzy gazda, co się dobrze miał i uściwy był wielce. Halimuzne dawoł, ubogiego na nocnik wzion, sąsiada poratował. Aze roz przyszedł jakisi niepilok (obcy) i o nocnik sie dopytywoł.

— Baba mi hora — rzekł gazda — nie mogem w hałupie — kie kcecie podźcie na stryk, na siano.

Niepilok położył sie tam, aze tu koło północka słysy, jak dwa janioły siedli se na dahu i rozmawiajom:

— Gaździe syn sie narodził.

— Skoda — peda drugi janioł — biedocek utopi sie w tej studni haw, na podwórzu.

Cosi jesce janiolowie pogwarzyli i polecieli do nieba, a niepilok rano pedzioł to syćko gaździe.

Gazda sie uśmiał, niepiloka ugościł i hnet o tem zabacył. Dopiero, kie hłopak podrośł, niby smrecek urodliwy, wspomniał se gazda o tyk aniołak i niepiloku i strak go zdjąn. Wzion kielo telo skóry i zrobił na studni ś niej dźwierze. Tero, pomyśloł se, juz sie synek nie utopi, kie posedł, raz gazda do pola z czeladziąm, hłopak ostał w hałupie. Wracajom na połednie, patrząm się, a tu hłopak leży niezywy na tyk dźwierzak na studni. Takie było przeznacenie, rozumicie? Takie samo przeznacenie było napisane w niebie i dla mego syna. Ha, dziej się Jego wola święta.

Po tych słowach, zabrał się z apetytem do jedzenia kwaśnego mleka, długą drewnianą łyżką. *K. Kr.*

Gdy spać nie można.

(*Czas ostatniego posiłku. — Alkohol i tytoń. — Wypoczynek przed snem. — Zmęczenie i przemęczenie. — Z kurami do łóżka*).

W pierwszym rzędzie rozpatrzyć należy, czy przyczyna bezsenności nie leży w niewłaściwem rozkładzie dziennym odżywiania się, jakoteż w jego rodzaju. Osoba skłonna do bezsenności winna się naturalnie strzedz przeładowywania żołądka na noc. Posiłek wieczorny musi więc być skromny, i nie później podany, jak między godziną 7. a 8., im wcześniej, tem lepiej. Dla przykładu lekkości posiłku podamy fakt, że jeden z doktorów wiedeńskich polecił swemu cierpiącemu na bezsenność pacyentowi spożywać o godz. 7. wieczór tylko ze dwa chleby z masłem i 2 jaja, naturalnie na miękko.

Podobnie i napoje alkoholowe, spożyte w większej ilości przed nocą, sprowadzają odurzenie po którem bynajmniej się niewstaje pokrzepionym i silniejszym, ale przeciwnie, cierpi się wskutek tego dzień cały następny. Osoby zaś nerwowe doznają często po spożyciu większej ilości alkoholów nawet podniecenia, które im zasnąć przeszkadza. Niemniej jednak szklanka piwa lub wina, wypita wieczorem przez nieprzywyczajoną do alkoholu osobę, sprowadza błogosławiony sen.

Szkodliwem ze względu na sen są z pośród napoi także kawa i herbata, to też dla zdrowego nawet człowieka jest nonsensem pić wieczorem kawę lub silniejszą herbatę, które z reguły i stanowczo „wybijają ze snu“ nieostrożnych. Tytoń zaś, wywiera zupełnie ten sam skutek, co kawa i herbata, nie trzeba się więc zbytnio pod noc „zapalać“.

Możnaby zapytać: Powiedz mi co robisz przed udaniem się na spoczynek, a ja ci powiem, jak sypiasz. Jeżeli bowiem ktoś z wytężeniem pracuje umysłowo, lub choćby czyta przed nocą mocno interesujące powieści i t. d., ten jest zbyt umysłowo podniecony, aby mógł zaraz po położeniu się do łóżka zasnąć. Cóż zatem robić przed snem? Teatr, koncerty, gra w karty i inne podniecające przyjemności nie pozwalają po sobie zbyt szybko zasnąć. Czasem tylko może się zdarzyć, że doskonale ubawienie się gdzieś w publicznym lokalu może sprowadzić posilający sen. Wszystko to więc nie będzie odpowiedniem zajęciem dla bezsennego. Człowiek taki musi się zająć przed snem czemś całkiem lekkiem, czemś,

coby go niejako przygotowało do snu. A więc lekka powieść, godzinka swobodnej rozmowy z domownikami, trochę muzyki. Słynny dziś dr. Apolinary Tarnawski z Kossowa radzi bawić się przed snem z dziećmi. Dobrą jest także krótka przechadzka, małe, niezbyt utrudzające ćwiczenia fizyczne. Nadmierny bowiem wysiłek fizyczny może również sprowadzić bezsenność z przemęczenia, które nie jest bynajmniej równoznacznem ze sprowadzającem sen naturalnem zmęczeniem. Wyjątkowe przemęczenie takie można usunąć ciepłą kąpielą lub choćby ciepłem obmyciem całego ciała.

Bezsenność więc zwalczać należy przedewszystkiem naturalnymi środkami na drodze dyety i fizykalnych zabiegów. Potem dopiero, można za radą lekarza zwrócić się do środków nasennych. — Wyłącznie zaś naturalnych środków winno się używać względem dzieci cierpiących na bezsenność. Dzieje się pod wpływem niepokojenia dzieci we śnie jakimiś hałasami, lub też kładzenie ich późną dopiero godziną do łóżka. Dlatego też dzieci powinny iść spać naprawdę z kurami, koło ósmej godziny wieczór.

Jaremcze, 11. sierpnia 1908.

W ubiegły wtorek i środę stał się u nas cud — była pogoda a nawet upał. Reszta lata przypada na deszczówkę, więc i wodnista moja korespondencya. Bo też leje a leje, jak z cebra, jak gdyby niebo chciało jaremczańskim letnikom i letniczkom pomódz do wyprania brudów nietylko płóciennych, ale także i duchowych. Jeżeli w takim celu otrzymujemy deszczowe ablucye — to niewidzę w tem wielkiej racyi — bo nawiasowo mówiąc, na niektóre brudy galicyjskie, a choćby tylko jaremczańskie nawet i całoroczna ulewa nie pomoże. A o zakład idę, że im dłużej będzie trwać słota, tem więcej grzeszków każdy dzień pogodny rozniesie po uroczych zakątkach Beskidu.

Mnie tam zresztą wszystko jedno, bo ja i tak się nie poprawię, mając wciąż pod bokiem blondynowatego „szkrabka“ z zadartym miłym noskiem na pocieszenie. No, ale to rzecz prywatna, która Szanownej Redakcyi nic nie obchodzi.

De publicis niewiele nowego, a wszystko od deszczu mokre. W naturze to tak samo się dzieje, jak między ludźmi; żaby nastawiają nogi tam, gdzie koń kują. Taki cieniutki strumyczek „Czarnohorczyk“ puszy się teraz i huczy, jak gdyby był co najmniej Prutem. Nawet piękna „Żonka“ rozkapryśiła się na dobre i podmyła most, wiodący do wodospadu, tak gruntownie, że mimo ratunkowych łańcuchów grozi mu niechybne zawalenie a mieszkańcom willi p. Adamiaka śmierć głodowa.

Temu zacnemu deszczowi zawdzięczamy piękny odczyt p. Hobgarskiego ze Lwowa o krajowym wyrobie rączek do piór i przedstawieniu teatru p. Piaseckiej.

Obie te sprawy połączono z celem dobroczynnym, to jest, ponieważ Jaremczanie z powodu słoty się nudzą, więc tłumnie przybywając, chętnie zapłacili wysokie wstępne do teatru i w ten sposób rzeczywiście okazali się dobroczyńcami p. Piaseckiej, która znów powodując się widocznie także „celem dobroczynnym“ uważała swych gości za żebraków, bo za niezłe pieniądze dała im jakieś bardzo na jałmużnę wyglądające głupstewka w repertoarze.

P. Hob. należy się wdzięczność za odczyt i dochód dla uzdrowiska, ale co do efektu praktycznego względem bojkotu pruskich rączek do pisania to... szkoda zachodu.

Przecież Galicyanie takich rzeczy nigdy na seryo nie brali. Smutne to, ale prawdziwe, jak słota w Jaremczu, która nie pozwala nawet Domowi Bożemu pokryć się dachem. Już to prawda, że wszystkie tutejsze deszczowe mgły i smutki rozprasza jedynie widok kościoła polskiego, wznoszonego z prawdziwem poświęceniem przez komitet i jego zacnego prezesa. Oby takich więcej, to mimo deszczu jaśniejby było i w duszy i na świecie!

S... K.

Baszowie - złodzieje.

Selim basza, który ze służącego doszedł aż do urzędu ministra, uchodził zawsze za wyrafinowanego kłamcę i oszusta, który jako minister kopalń i lasów, ministerstwo swe jak gdyby jakiś fachowy górnik i leśnik „podminował“ i „przetrzebił“; ukradł do 20 milionów, nie licząc tego, co przepuścił. Trzej jego bracia, starali się wstępować w jego ślady, lecz nie mieli tak dobrej sposobności do brania bakszyszów i do handlu koncesyami. Jeden tylko z nich Redżyb basza Melhame, były radca ambasady w Paryżu, który dzięki szpiegostwu i zmyślaniu intrygujących bajek o spiskach na życie sułtana, wyszachrował dla siebie stanowisko „komisarza Porty w Sofii“, ten jeden tylko ma pełne prawo do nazwiska „Mal-famé“. Bywał on często wzywanym na sędziego śledczego w małych i wielkich spiskach dynamitowych, które zdołano odkryć w Ildiz kiosku — a które jak mówią — sam inscenizował, a następnie odkrywał. Redżyb ma skromny tylko majątek, lecz przez jego ręce przeszły miliony, a kieszeń miał zawsze dziurawą. Ze Redżyb basza nie naśladował dotąd przykładu brata, dowodzi to jego wielkiej bezczelności, a może także i tego, że Redżyb basza, spodziewa się i teraz jeszcze wyłowić coś dla siebie z niewyjaśnionej dotąd sytuacyi.

Przed przebudzoną z długoletniej drzemki sprawiedliwością turecką uciekł także John basza Avramides. chrześcijanin, jeneralny dyrektor państwowego tow. żeglugi „Massousieh“, który mimo olbrzymich dochodów nie daje rządowi najmniejszego zysku, bo wszystkie dochody przechodziły dotąd przez sito — kieszeń całego zarządu.

Pozatem bogacił się też każdy minister marynarki. I tak zmarły przed laty kapitan basza, minister marynarki Hassan basza zdołał „zarobić“ dwa miliony funtów tureckich; mówiono też o nim, że Hassan zjada statki wojenne, jeszcze zanim je zbudowano.

„Oszczędności“ robili też ministrowie wojny, spraw wewnętrznych — wogóle wszyscy. Minister wojny Riza basza i spraw wewnętrznych Memdouh basza mają olbrzymie majątki, zapewne jednak wszystkie ich „czyfliki“ (dobra), „Konaki“ i „Jalisy“ (pałace) zostaną im skonfiskowane, co będzie dla nich większą karą, niż każda inna.

Sułtan przedsiębrał nieraz kroki, by oczyścić tę stajnię Augiasza; lecz wszyscy owi ministrowie i urzędnicy przyboczni tworzyli razem jak gdyby spółkę, wszyscy byli zarówno „oszczędni“, a przecież kruk krukowi oka nie wydziobie.

Oto przykład, w jaki sposób gospodarowali ci wszyscy dostojnicy. Jednym z największych amatorów bakszyszów i cudzej własności był zamordowany przed trzema laty prefekt Stambułu, garbaty Redwan basza, który corocznie zapożyczał się w kasach skarbowych na kilkaset tysięcy franków i przepuszczał je przy pomocy europejskich szansonetek. Gdy przed kilku laty wybuchła w Stambule zaraza, miał Redwan z polecenia sułtana zakupić za 10.000 funtów środków dezyfenkcyjnych.

Redwan 80 procent tej sumy schował do kieszeni i desynfekcyonował miasto wyłącznie tylko wapnem. Sułtanowi doniesiono o tem, kazał więc zawezwać baszę.

„Köpoglu Köpek!“ (psie) ukradłeś 8.000 funtów i ty się nie wstydzisz?— zawołał nań sułtan i nie panując nad sobą, kopnął go tak, że mały Redwan wyleciał przez drzwi i stoczył się ze schodów. Mimo to Redwan pozostał nadal prefektem.

Gdy dzień potem jeden z najbardziej zaufanych spytał władcę, dlaczego pozostawił Redwana przy władzy, odpowiedział sułtan: „Ten złodziej nakradł już tyle, że ma chyba już dosyć. Gdybym na jego miejsce powołał kogoś nowego, tenby kradł dziesięć razy tyle, a Redwan może będzie się teraz obawiał“.

I rzeczywiście niezwykle inteligentny zresztą i energiczny Redwan przestraszył się i od tego czasu nikt nie mógł mu już zarzucić nierzetelności.

W taki sposób musiał sprawowac rządy sułtan, samowładca. *Zt.*

KRONIKA.

Kalendarzyk:

We czwartek rz.-kat. Hipolita M. gr.-kat. Jewdokima.

W piątek rz.-kat. Euzebiusza † — gr.-kat. Awh. Prois. ś. K.

Repertoar teatru miejskiego we Lwowie:

Pierwsze przedstawienie po powrocie z Krakowa.

We wtorek 18. sierpnia rb. Uroczyste przedstawienie ku uczczeniu dnia urodzin Najjaśniejszego Pana.

Rozpocznie: Hymn ludowy i Apoteoza z udziałem całego personalu.

Nastąpi: „Wesoła wdówka“ operetka w 3 akt. Fr. Lehara, z pnią Miłowską.

We środę: „Mąż trzech żon“, operetka w 3 akt. Fr. Lehara.

We czwartek: „Czar walca“, operetka w 3 akt. Oskara Strausa.

W piątek: „Wesoła wdówka“, operetka w 3 akt. Fr. Lehara, z pnią Schupp.

W sobotę: „Czar walca“, operetka w 3 akt. Oskara Strausa.

W niedzielę: „Czar walca“, operetka w 3 akt. Oskara Strausa.

W poniedziałek: „Mąż trzech żon“, operetka w 3 akt. Fr. Lehara.

We wtorek: „Dzwony z Corneville“, opera komiczna w 4 aktach R. Planquett'a, z p. Okońskim w roli Gasparda.

Kapelmistrz: Fr. Słomkowski.

Reżyser: Adam Okoński.

MIEJSCOWA.

Dyrektor poczt Seferowicz wrócił z urlopu i objął urzędowanie.

Wycieczka automobilistów. Przygotowania do wycieczki do Rymanowa robione z całem zajęciem, wróżą wycieczce automobilistów znakomite powodzenie. Wycieczka wyruszy w piątek o godz. 6 rano z pod hotelu Imperial. Przedtem odbędzie się we czwartek o godz. 10. rano posiedzenie komisyi sportowej, a o godz. 5 popołudniu korso zgłoszonych do wycieczki wozów ulicami miasta, o godz. 7·30 zebranie towarzyskie w hotelu George'a. Sekretarz klubu, p. Zygmunt Rosner urzęduje przez dzień cały w hotelu Imperial.

Amnestya Jubileuszowa. Wiedeń (*tel.*). **Cesarz wydał polecenie, aby wszystkie kary pieniężne aż do wysokości 150 kor., jakoteż kary aresztu aż do 14 dni, w tym roku orzeczone, a jeszcze niewykonane, zostały z powodu 60-letniego jubileuszu jego rządów odpisane względnie zniesione.**

Fatalny strzał. Do okien klasztoru OO. Bernardynów strzelił ktoś wczoraj wieczorem nabojem śrutowym od strony ul. Wałowej. Strzał wymierzono do okna kancelaryi prowincyała ks. Norberta Golichowskiego, który właśnie zajęty był pracą przy biurku stojącem tuż pod oknem.

„Tjara i Korona“, głośna powieść historyczna T. J. Choińskiego, osnuta na tle walki o władzę i panowanie nad światem między cesarzem Henrykiem IV. i papieżem Grzegorzem VII., ukazała się na półkach księgarskich nakładem firmy Maniszewskiego i Meinharta we Lwowie. Powieść ta, należąca do najznakomitszych, jakie posiadamy w dziedzinie powieściopisarstwa historycznego, obejmuje dwa obszerne tomy, wydane nadzwyczaj starannie i bogato. Jest to drugie z rzędu wydanie, które wobec zupełnego wyczerpania pierwszego, powitać należy z uznaniem, gdyż daje sposobność szerokim zastępom czytelników zaznajomienia się z tem niepospolitem dziełem.

Fatalny poczęstunek. Do jednej z restauracyj lwowskich przyszedł wczoraj żebrak z Zamarstynowa, staruszek liczący 65 lat, zwany „Szymonem“ i tam potraktowano go z litości obiadem. Wygłodniały starzec po zjedzeniu obiadu dostał ataku apoplektycznego i umarł.

Nasz reporter pisze:

Wszystko byłoby bardzo ładnie, gdyby nie ta okoliczność, że na dworcu we Lwowie obskoczyła mnie zgraja pachołków magistrackich i rozebrawszy mnie do koszuli przeszukiwała wszystkie kieszenie, a nawet odprówała podszewkę, czy niema co do opłaty. Zaglądali mi pod pachy, we włosy i jeszcze gdzieś tam, czy nie ukryłem czego a kwalifikującego się do opłaty. Nie mogłem na to reagować z powodu obywatelskiego obowiązku. Przekonuje mnie to bowiem, że św. Magistrat ma tęgich funkcyonaryuszów, którzy o dobro jego dbają z wielkim zaparciem się i poświęceniem. Tak rozmyślając, dojechałem tramwajem do miasta. Jakież było moje zdziwienie nowym objawem patryotyzmu św. Magistratu! Oto, jak Redakcyi i wszem mieszkańcom wiadomo, na budach tramwajowych pomieszczono prześlicznie wykonane ogłoszenia hudecowskie. O taki heroizm nigdy św. Magistratu nie posądzałem. A jednak zdobył się nań. Poczerwieniał od góry do dołu, od wielkiego palca w bucie do łysiny i teraz mamy już chwalić Boga, czerwone rządy, z czerwonemi emblematami, a zapewne i hymn narodowy już jakiś fizykat miejski obrabia i na magistracki język tłumaczy: „Kreu naszu leia katy“. Jest to niezmiernie doniosły postęp w dziejach Lwowa, który niech skwapliwie dr. Czołowski i Fr. Jaworski do archiwów jako nowy numer inwentarza zaciągną.

A teraz przedewszystkiem chciałbym wziąć udział w konkursie rozpisanym przez Szanowną Redakcyę odnośnie do nazwy chleba, który gdzieś tam za rogatkami wypiekać będą. Ponieważ jestem łasy na premię, więc nietylko ja sam, ale z całą in corpore familią w konkursie udział biorę. I tak imieniem swojem podaję, aby ten chleb nazywał się „Manna“. Będą go kupować nietylko żydzi i katolicy, którzy od żydów starą biblię sobie przywłaszczyli.

Imieniem mojej przyszłej narzeczonej podaję godło: „Chleb piękności“. Imieniem przyszłego syna: „Chleb Zbyszka“. Zdaje mi się, że nagrodę otrzyma właśnie ten mój syn, bo nazwa najstosowniejsza. Kto będzie ten chleb jadł, nabierze takiej siły, jaką ma Zbyszko Cyganiewicz. Wreszcie w imieniu moich przyszłych córek podaję: 1) „Chleb św. Piotra i Pawła“, 2) „Mars“, 3) „Chleb sarmacki“. Więcej córek sobie nie życzę, więc i do konkursu ich nie zgłaszam.

Lwowska brać literacka het się przez wakacye pożeniła. Muszę i ja pokazać, żem nie od macochy. Ino mnie trochę straszy kiepski rok tegoroczny. Będzie drożyzna. Jak mi Szanowna Redakcya radzi, ha?

Rozboje w środku miasta. Na ul. Akademickiej buduje się gmach Izby handlowej, na której to budowie zajęci są też Józef Kolanowski i Jan Sawicki. Ponieważ obaj ci robotnicy należą do organizacyi narodowo-demokratycznej, więc są przedmiotem ustawicznych napaści ze strony robotników socyalistycznych. Onegdaj napadli na wychodzących z roboty sami czerwoni towarzysze i pobili ich do krwi bez powodu — ot tak przez wrodzone łajdactwo tylko. Odznaczają się w tych napadach robotnicy Klemens Kowalczuk, Kasper Sioda, Sierzenga i Ziemba. Budowę te prowadzą pp. Lewiński i Teodorowicz i oni mogliby wpłynąć

na to, aby ona nie stawała się terenem socyalistycznych rozbojów.

Włamywacze. Policya wpadła na trop bandy włamywaczy, którzy korzystali z tego, że wiele osób bawiących na willegiaturze, pozostawiło swe mieszkania bez dozoru; złodzieje włamywali się do tych mieszkań i okradali je. Aresztowano dotąd Klemensa Kaczanowskiego, Bolesława Kuszmidra i Stanisława Gorczycę, a nadto kilka innych osób, podejrzanych o współudział w kradzieżach. U pewnej wdowy po woźnym znaleziono magazyn skradzionych rzeczy. Wdowa wraz z synem uciekła. Dalsze śledztwo w toku.

Jan Trupiszyn. O ile nasi czytelnicy sobie przypominają, w powieści tej, którą drukowaliśmy w *Gońcu*, nieznana kobieta zaraz po śmierci daje życie bohaterowi powyższego opowiadania. Wielu fakt taki uważało za wykluczony. Tymczasem *Mediz. Wochenschrift* donosi z Bukaresztu o następującym wypadku:

W miasteczku Buzeu przyniesiono na klinikę kobietę, która znajdowała się w ostatnim miesiącu ciąży. Kobieta ta zmarła niebawem i ciało jej wyniesiono do trupiarni. Gdy w parę godzin później przybyło dwóch lekarzy celem sekcyonowania nieboszczki, znaleźli koło niej na stole jedno żywe dziecko, a drugie leżało na ziemi z rozbitą główką.

Benefis Lelewicza. Zasłużonemu artyście naszej operetki, Andrzejowi Lelewiczowi, który już opuszcza naszą scenę i przenosi się na stanowisko dyrektora teatru do Poznania, urządzono onegdaj w Krakowie serdeczną owacyę, podczas granych na jego benefis „Dzwonów cornewilskich“. Wielbiciele jego talentu zebrali się w teatrze bardzo licznie, oklaskiwali go, wywoływali bez liku razy i obdarzyli kwiatami.

P. Stefania Popiel zechce się zgłosić do naszej redakcyi we własnym interesie.

Korespondencye Redakcyi.

O. H. B. Dziękujemy za list. Do Rzeszowa pojedzie nasz współpracownik.

Z KRAJU

Walka z bandytami. Z Cieszyna donoszą: We wtorek wieczorem miasto nasze zostało zaalarmowane wypadkiem, który rozegrał się w hotelu „pod miastem Cieszynem“ p. Bobka. Przybyło tam trzech nieznanych ludzi, rozmawiających ze sobą po węgiersku, którzy zaraz zwrócili na siebie uwagę z powodu tego, iż rozrzucali formalnie pieniądze, ciągle wyciągając grube banknoty przy każdem zakupnie i nieżądając z nich wcale reszty. Skoro nadto przybyła do miasta wiadomość, iż na Węgrzech popełniono rabunek i policya tamtejsza poszukuje sprawców, natychmiast podejrzenie padło na tych trzech mężczyzn. Zaraz też zwrócił się policyant, przebywający w służbie w tej części miasta, do nieznajomych, żądając wylegitymowania się. Ci, zmiarkowawszy, o co chodzi, stawili się butnie a nawet porwali się na policyanta i pobili go, raniąc dotkliwie. Na pomoc policyantowi przybyli trzej funkcyonaryusze kolejowi, znajdujący się w restauracyi hotelowej, pp. Paweł Hutta, Jan Raszyk i Paweł Gil, którzy też pokonawszy ostatecznie bandytów, byli pomocnymi przy odprowadzaniu złoczyńców. Jeden złoczyńca zdołał się jednak wyrwać i uciec. Zdaje się też, że on to strzelił do policyanta, nieszkodliwie jednak. Schwytano go dopiero w nocy. Dwóch innych przyprowadzono na odwach i zaraz zrewidowano. Znaleziono przy nich 19.000 koron i rozmaite kosztowności, jak złote pierścionki itp. Trzej złoczyńcy nazywają się: Juraj Orlicz, Marek Marovics i Grolics, wszyscy Węgrzy. Obrabowali oni na Węgrzech pewnego właściciela ziemskiego, który jechał na wypłatę, mając przy sobie 35.000 koron. Poranili go ciężko i zabrawszy pieniądze, uciekli z łupem swym do Cieszyna, gdzie się jednak zaraz zdradzili. Oprócz tych trzech czwarty złoczyńca i wspólnik uciekł z resztą pieniędzy.

Przy wypadku tym, jak zawsze okazało się w całej pełni niedołęstwo policyi cieszyńskiej. Walkę ze złoczyńcami musieli prowadzić wspomniani kolejarze, policyant był bowiem na miejscu jeden tylko, inni zaś spali już zapewne na odwachu, lub też na odgłos strzału rewolwerowego tchórzliwie się pochowali.

ZE ŚWIATA.

Polowanie na małpy. Polowanie na małpy w naszej strefie, to rzecz w każdym razie niezwyczajna. A jednakże zdarzył się taki fakt na jednym z dworców w Budapeszcie. Zatrzymał się tam pociąg pogromcy zwierząt Persiny z Rumunii. Aby przewietrzyć wagony, odsunięto w nich drzwi, i przy wagonie z małpami, manipulowano tak nieostrożnie, że uszkodzono zamknięcie drzwi. Przemyślne małpy, zbliżyły się ostrożnie do otworu wagonu, panował zaś w on dzień wielki upał w Budapeszcie. Mogło się więc małpom zdawać, że są w swej pierwotnej tropikalnej ojczyźnie. Zapragnęły użyć wolności i w sprężystych susach wyskoczyły z wagonu w liczbie dziesięciu. Rozbiegły się we wszystkie strony.

Schwytano je z wielkim trudem Dwie młode małpy, siedzące na drzewie, znęcono na dół słodyczami. Jedna maleńka małpeczka, wskoczyła na ogromny, modny kapelusz pewnej damy, i tak się dobrze wsunęła między gazy i ozdoby kapelusza, że z trudem tylko i z wielką szkodą kapelusza, wydobyto ucikiniera. Resztę małp musiano ściągać z latarni sygnałowych, kominów i dachów, i po dwu godzinach wielkich wysiłków, zamknięto znów starannie wagon z małpami, złorzeczącemi zapewne ludziom, że nie wszystkim małpom wolno swobodnie chodzić po świecie.

Pies morski w niewoli. Menażerya cesarska w Schönbrunie pod Wiedniem była przed trzema tygodniami widownią niezwykłego w naturalistyce zdarzenia: oto przyszedł tam na świat piesek morski, który to fakt pierwszy raz się zdarzył, gdyż psy morskie, jak uczy doświadczenie, w niewoli nigdy się nie mnożą.

Publiczność wiedeńska ochrzciła morskiego noworodka „Fryckiem“, a ponieważ matka niechciała go karmić, więc dozorcy menażeryi czynili to za pomocą flaszeczki.



Zdaje się jednak, że ten wymysł kultury niedogadzal organizmowi Frycka, pomimo, że mleko było starannie sterylizowane. Po szesnastu dniach Frycek powiększył grono morskich aniołków, ku ogromnemu żalowi Wiedeńczyków, którzy masami przyjeżdżali do Schönbrunu, aby oglądać tę małą w niewoli zrodzoną fokę.

TELEGRAMY.

Bunt lekarzy wojskowych.

Wiedeń. Dziennik rozporządzeń personalnych dla armii ogłasza złożenie szarży oficerskiej przez ośmiu lekarzy wojskowych.

Dziennik „*Zeit*“ donosi, iż szereg innych lekarzy wojskowych wniósł już prośby o dymisyę. Odnieść to należy do nieuwzględnienia aspiracyi lekarzy wojskowych przez zarząd armii. Ministerstwo wojny z umysłu nie ogłasza wszystkich wystąpień, aby nie dać powodu do komentarzy.

Spisek wielko serbski.

Zagrzeb. Śledztwo w aferze o zdradę stanu toczy się dalej. Nastąpić mają dalsze aresztowania. Aresztowanych ma być przeszło 100 osób. Śledztwo trwać będzie dość długo, jak obliczają, kilka tygodni.

Podpisanie... kary.

Suczawa. Śledztwo w sprawie nadużyć w sądzie suczawskim przybiera coraz większe rozmiary i obejmuje wszystkie sądy w południowej Bukowinie. Śledztwo stwierdziło, że sędziowie kazali sobie podpisywać weksle przez strony, które siedzieć miały.

Z aeronautyki.

Le Mans. Wright dokonał wzlotu na swoim aeroplanie. Wzniósł się lekko na 25 do 30 metrów i zatoczył sześć ósemek w przeciągu 5 minut 56 sekund.

Wilhelm Rajzender.

Berlin. Utrzymują się uporczywie pogłoski, że cesarz Wilhelmem niebawem wybierze się do Rewlu. Jako termin wymieniają dzienniki pierwszą połowę września. Jest faktem, że cesarski jacht „Standard“ otrzymał rozkaz przygotowania się na początek września do podróży na wody finlandzkie.

Zastrzelenie zbrodniarza.

Pilzno (w Czechach). Słynny włamywacz i morderca, z Prus rodem, którego nazwisko nie jest znane, a który przez parę miesięcy całą okolicę napełniał strachem, został wczoraj zastrzelonym w lesie przez patrolujących żandarmów.

Handel wylosowanymi papierami.

Warszawa. Wykryto tu fałszerzy, sprzedających wylosowane papiery pożyczki państwowej. Przedsiębiorcy skupowali wylosowane obligacye, wysyłali je do specyalnej pracowni w Londynie, gdzie zmieniano wielce udoskonalonym sposobem, numery seryi i sprzedawali je po znacznie wyższym kursie.

Piekielna jazda.

Lizbona. Na linii kolejowej między Lizboną a Oporto wybuchł pożar lasu i dosięgnął szczytu w chwili, gdy wjechał w niego pociąg ekspresowy z Oporto wychodzący. Maszynista sądził, że pożar nie jest groźny i chciał środkiem przejechać, a gdy poznał olbrzymie niebezpieczeństwo, zapóźno było cofać się, bo z tyłu pożar się zwiększył i rozszerzył. Pociąg przejechał zatem wśród piekielnego żaru, od którego zajęły się wagony, a wielu pasażerów odniosło ciężkie poparzenia lub ulegli uduszeniu w dymie. Gdy pociąg przybył do Oporto, był prawie zupełnie zniszczony, a wszystkich podróżnych musiano przenieść do szpitala.

Znów przesilenie.

Konstantynopol. Przeciw nowym ministrom podnoszą się głosy niedowierzania. Jako powód tego uważać należy fakt, że dotychczas gabinet nie ogłosił swego programu, a nadto dowiedziano się, że jeszcze przed zamianowaniem odbyli oni tajną konferencyę w Ildiz. Przewidywany jest wybuch nowego przesilenia gabinetowego.

Telefon bez drutu.

Paryż. Dziennik *France Militaire* donosi, że próby telefowania bez drutu odbywają się w dalszym ciągu. Doświadczenia jednak miały wykazać, że najdalej na 18 kilometrów telefonowanie jest możliwe.

Porządki w Turcyi.

Stambuł. Dzienniki tureckie przytaczają liczne szczegóły o organizacyi departamentów, redukcyi sił urzędniczych i oczyszczeniu ministerstwa z synekurzystów, co naturalnie wywołuje u osób dotkniętych temi zarządzeniami niezadowolenie.

Stambuł. Ministerstwo marynarki usiłuje rozwiązać niekorzystne kontrakty, pozawierane przez poprzednie rządy. Także inne departamenty czynią podobne kroki, jednak prawdopodobnie obce firmy nie zgodzą się na to. Minister marynarki proponuje sprzedaż wszystkich starych okrętów wojennych i obrócenie uzyskanych z tego pieniędzy na odnowienie floty.

Obudził się w nich patryotyzm.

Konstantynopol. Uwięzieni dygnitarze starego rządu, i ci, którzy się uwięzienia spodziewają a uciec niemogą, ofiarowują olbrzymie sumy na cele patryotyczne, jak na budowę nowych okrętów, na szpitale, spłatę długów państwowych itd. Ogólna suma tych ofiar dochodzi już do miliona funtów tureckich (przeszło 20 mil. kor.). Komitet młodoturecki wśród tych ofiar robi staranny wybór, ponieważ majątki wielu dygnitarzy zostaną i tak na rzecz państwa skonfiskowane.

Edward VII. w Ischlu.

Ischl. Wczoraj o godzinie 10-tej przedpołudniem przybył tu król angielski. Na dworcu przyjęli go z honorami wojskowymi cesarz, arcyksiążęta Eugeniusz i Józef, książęta bawarscy Leopold, Jerzy i Konrad. Powitanie monarchów było bardzo serdeczne. Monarchowie ucałowali się, a po powitaniu arcyksiążąt i książąt bawarskich przeszli koło kompanii honorowej, witani owacyjnie przez zgromadzoną ludność. Następnie udali się do kwatery króla w hotelu „Elisabeth“.

Po powitaniu król z cesarzem odeszli do apartamentów królewskich, poczem cesarz udał się do swej willi. — W godzinę potem król zajechał przed willę cesarską, aby złożyć cesarzowi życzenia z okazyi 60-letniego jubileuszu rządów. Następnie król wrócił do swego mieszkania, gdzie o godz. 1. przyjął rewizytę cesarza, poczem odbyło się w willi cesarskiej śniadanie, w którem wzięli udział cesarz, król angielski, książęta bawarscy, księżna Gizela, arcyksiążęta i arcyksiężne, podsekretarz stanu Hardinge i dygnitarze dworscy.

Podczas obiadu cesarz wzniósł toast na cześć gościa, na który król angielski bardzo serdecznie odpowiedział, składając cesarzowi życzenia jubileuszowe.

KRONIKA.

Poświęcenie i otwarcie Domu rekolakcyjnego we Lwowie odbędzie się dnia 30. sierpnia o godzinie 10. rano, poczem dnia 31. wieczorem rozpoczną się rekolekcye dla Kapłanów. Zgłoszenia pod adresem: Ks. Superior Domu rekolekcyjnego we Lwowie, ul. Duninów-Borkowskich.

Arystokratyczne tytuły amerykańskie. Córki miliarderów amerykańskich absolutnie nie chcą wychodzić za mąż za kogo innego, jak tylko za ludzi wysoko utytułowanych: za książąt i arcyksiążąt, a już w ostateczności za hrabiów i baronów. Ponieważ wśród ich ziomków niema ludzi utytułowanych, przeto wychodzą za cudzoziemców wywożąc pod postacią posagów miliony dolarów z ojczyzny zagranicę. Praktyczni Amerykanie, nie mogąc zapobiedz w inny sposób tej manii córek miliarderów, wpadli na bardzo dowcipny pomysł. Oto proponują, aby kongres amerykański ustanowił wszystkie te tyłuły, jakie są w Europie, więc arcyksiążąt, wielkich książąt, książąt, margrabiów, hrabiów, wicehrabiów i baronów i wystawił je na sprzedaż. Za barona cena 100.000 dolarów, za wicehrabiego 300.000, za hrabiego 500.000, za margrabiego milion, za księcia dwa miliony, za wielkiego księcia trzy miliony, a za arcyksięcia pięć milionów. Z początku — powiadają — humoryści będą się śmiali i pisma humorystyczne będą sobie z tego żartowały, ale po latach kilkudziesięciu tak się ludzie z tem oswoją, że tak będą szanowali te tytuły amerykańskie, jak teraz szanują tytuły europejskie. Pożytek zaś z tego będzie dwojaki: panny amerykańskie, wychodząc za domowych książąt i hrabiów, zachowają w Ameryce swoje posagi, zamiast je wywozić do Europy; skarb zaś amerykański otrzyma spory dochód ze sprzedaży tytułów.

Mianowania. Ministerstwo handlu nadało posady kontrolorów pocztowych starszym oficyałom pocztowym: Franciszkowi Greenowi w Kołomyi, Chunemu Dawidowi w Przemyślu i Jakóbowi Schreiberowi w Nowym Sączu z pozostawieniem ich w dotychczasowych miejscach służbowych — dalej Bartłomiejowi Litwinowi w Rzeszowie, w urzędzie pocztowym w Buczaczu, Józefowi Lachowiczowi w Brzeżanach, Władysławowi Faliszewskiemu w Nowym Sączu, Henrykowi Czernerowi w Kołomyi, Stanisławowi Antoszowi i Józefowi Franciszkowi Inczakowskiemu we Lwowie, wszystkim w urzędzie pocztowym we Lwowie 1, wreszcie Mozesowi Lindenbaumowi i Adolfowi Rosenrauchowi w Stanisławowie, w urzędzie pocztowym w Stanisławowi 1, tudzież zamianowało oficyała pocztowego Władysława Sawczyńskiego z Krakowa, kontrolorem pocztowym w urzędzie pocztowym w Podwołoczyskach.

I. krajowa lecznicza kolonia rymanowska zawiadamia, że wyjazd dziatwy z Rymanowa z powrotem nastąpi dnia 16 bm., o g. 10 wieczór ze stacyi Rymanów w kierunku na Sambor-Chyrów. Do Lwowa przybędzie kolonia 17. rano o g. 8 poniedziałek. Rodzice wysiadających na prowincyi uwiadomią Zarząd kolonii, na których stacyach dziatwę oczekiwać będą.

Habet sua fata. Lwowskie Towarzystwo Łyżwiarskie rozpoczęło już roboty około nowego toru na popełczyńskich gruntach i niebawem, przystąpi tam również i do postawienia zabudowań, które zajmą cały front od ul. Pełczyńskiej i ciągnąć się będą w długości, przeszło 130 metrów wynosić mającej. Będzie to budynek jednolity, o niepospolitych rozmiarach, i odpowie wymaganiom naszej publiczności, która na szczupłość garderób, bufetu i na rozkład budynków na Stawach Panieńskich, użala się zawsze.

Potrzeba sfinansowania zamierzonych inwestycyi, prawdopodobnie odezwie się echem i na najbliższej sesyi Sejmowej, jako sprawa, która „habet sua fata“, gdyż odnosi się jeszcze do czasów z r. 1893. W tym roku bowiem, mianowicie pod dniem 18. maja i 9. lutego 1894 wypowiedział Wys. Sejm uchwałą powziętą życzenie, by Wydział krajowy odstąpił Towarzystwu na tegoż cele grunta Szumanowieckie, i przy tej transakcyi, by poszedł w ulgach dla Towarzystwa do najdalszych granic. Nie stało się tak jednak, bo grunta te z pominięciem uchwały Sejmowej, sprzedał ówczesny Wydział krajowy pewnej spółce spekulacyjnej, a Towarzystwo pozostało na bruku. W obecnej więc potrzebie swej, Towarzystwo bierze asumpt z zamanifestowanych już poprzednio wielkodusznych intencyi Wys. Sejmu dla siebie i poetycyonować będzie teraz do Sejmu, o słuszne złagodzenie skutków doznanego zawodu, z transakcyi wymienionej.

Potrzeba parę tysięcy kobiet... Gazety amerykańskie ogłaszają list z miejscowości Fairbanks w stanie alabamskim. Treść listu jest bardzo ciekawa. Ludność tutejsza prosi o pomoc. Robotników jest podostatkiem, ale kobiet zabrakło. We Fairbanks jest 4000 starych zamożnych kawalerów, którzy szukają żon, a choć są niewybredni, niemogą ich znaleźć. Proszą zatem, aby ze Stanów Zjednoczonych przysłano parę tysięcy kobiet.

13

FRANCISZEK DÜLL.

Bracia Białoskórscy

Powieść z końca XVI-go wieku osnuta na historycznem tle m. Lwowa.

— Witam Imć pana rotmistrza zawsze mu zobowiązany. — I tu ruchem ręki zaprosił Białoskórskiego, by usiadł, a sam podszedłszy do wchodu klasnął w dłonie, i wnet chłopak do usługi wniósł dwa puharki i gąsior węgrzyna.

Pan Paweł sam teraz usiadłszy ciągnął dalej:

— Dawnośmy się niewidzieli Mości Rotmistrzu... w mieście nie łatwo Waszmości napotkać.

— Bywam w mieście mało. — Odpowiedział krótko Marek.

— Ha, czujność służbowa i czujność nad powierzoną sobie strażą zamku, nie wiele czasu wolnego zostawia.

— Czasu by się jeszcze znalazło, ale staranie się w służbie dla Rzeczypospolitej, za króla Jegomości Stefana, strawiło trochę sił i młodzieńczego animuszu i uczyniło potroszę odludkiem...

— Osłabia Waszmości bezczynność żołnierska w czasie pokoju. Wam ludziom oręża potrzeba walki, niebezpieczeństw, bohaterskich czynów, a zatem idzie zdobycie sławy, dostojeństw i bogactw...

— Nie korci mnie już pochodnia Bellony, ani kusi Victoryi palma; sprzykrzył się stan wojaka i zmierził bezżenny... Chciałoby się już raz zawinąć do spokojnego portu Hymena...

Nie pomyśli był panu Pawłowi ten zwrot retoryczny, roztkliwiającego się niby Marka, przeto pomijając z lekka, jakby z nieuwagi końcowy ustęp mowy jego, przemówił:

— A jednak piękną jest sława wojenna... Pod takim wodzem jakim był ś. p. król Stefan, łatwo o nią było i o bohaterów...

To też dokazywaliśmy cudów waleczności. Pamięta nas Połock, Wielkie Łuki, Newel, Zawołocz i inne, ale co... Węgrzynom, niemieckim drabom*) i ciurom**) obozowym dostawała się sława i zdobycz!

— Połock przeważnie zasługą Wąsika, naszego kotlarczyka ze Lwowa, zdobyty...

— Ha! — gdyby nie on, ten łyczak...***) ja miałbym palmę pierwszeństwa!...

— A wszak on został w nagrodę nobilitowany z nazwiskiem Połotyński i własny otrzymał klejnot...

— Otóż właśnie, po każdej rozprawie nobilitował król jakichś Wąsików, Wielochów, Łapczyńskich... chłopow, drukarzy, kotlarzy!...

— Za ich rzetelne zasługi...

— Et, nie mówmy o tem... Szkoda mitręgi, lepszy chleb spokojny.

— Czas Wam Mości rotmistrzu gnuśnieć w bezczynności.. Ot i teraz jest pora z panem hetmanem na Turczyny i Tatary.

— Nie, Mości rajco... i Zamojski nie wyciągnie mnie teraz w pole... Toż on za grosz pożyczany ściągnął zaledwie garść boju chętnych; zresztą mogę ja i na zamku mieć co do czynienia, lecz i to mnie nie nęci...

— A cóż zamek! — Wykręcał się jak piskorz dalej pan Paweł, od naciągającego do swego zamiaru Marka. — Wobec możliwego najścia pohańców, słabą posiada załogę...

— Wystarczy na teraz. — Odparł z przekąsem Marek. — I jeszcze Wam w mieście pomożemy...

— Chwała Bogu i mądrej przezorności panów Rady, mamy dostateczną ilość zbrojnych i ludu od potrzeby. Jak Waszmości wiadomo, wskutek groźby pana Jazłowieckiego, starosty śniatyńskiego, który, mimo panującego już nam miłościwie Jegomości, króla Zygmunta, śmie trzymać jeszcze stronę arcyksięcia Maksymiliana rakuskiego, zaciągnęliśmy nie mały poczet zbrojnych...

— Szkoda dla nich grosza... Tych czterech najętych rotmistrzów z ich szeregowymi i doliczeniem Wolfszulcowicza i Balcerkiewicza z ich drabami, nie wiele w potrzebie dokaże. — Odpowiedział jak poprzód Marek.

— Zawsze ich jest do trzystu ludzi... Ot, nie kpijcie Mości Rotmistrzu z miejskiej drużyny, a pomyślcie raczej o wzmocnieniu zamkowej załogi, która jak dziś w osiemnastu ludzi nieobroni siebie, a jąkąż dopiero pomoc dać może miastu... — Rzekł z powaga Jelonek.

— Dajmy pokój przedwczesnym troskom i niekłopoczmy się cudzemi sprawami... — Zagadnął naraz Marek tonem zobowiązującym. Nie po to tu dziś przyszedłem, lecz we własnej bardzo ważnej sprawie...

Jelonek podniósł oczy i patrzył nań wyczekująco.

Marek powstawszy ciągnął dalej:

— Otóż wybaczcie panie rajco, że nie po szkolarsku z długim wstępem, jeno po żołniersku, jako rycerzowi przystało, sam sobie swacić będę... Wiadomo Waszmości panu, jakiemu dziwnemu, aczkolwiek dla mnie fortunnemu przypadkowi zawdzięczam poznanie domu tak zacnego... Podobało się dalej łasce bożej obdarzyć mnie względami Waszej siostry, do której w piersiach moich rozbudzonym afektem serdecznym przykuty zostałem, o czem teraz Jegomości komunikując, o rękę jej dla swej niegodnej persony proszę...

— Wy, Mości Rotmistrzu, mężem mej siostry być nie możecie... — Rzekł na to tonem surowym pan Paweł, powstawszy.

— I czemuż, Mości rajco, jeśli wiedzieć wolno? — Odezwał się Marek z udanym spokojem.

— Czy jesteście w stanie utrzymać ją i przyszłą rodzinę z Waszego żołdu, dwóch złotych na tydzień?..

— Mam w pomoc część dochodów z dóbr rodzicielskich...

— Jakich?...

— Soroki i Wyczółki pod Buczaczem. — Łgał naciśnięty Marek.

— Czy tak!... Wiem, że te od wieków do Huniatyckich rodu należą, których znam dobrze...

— A i siostra Wasza coś w wianie przyniesie... — Wspomniał Marek szyderczo, widząc się przychwyconym na kłamstwie.

— Na to liczycie?.. Nie Mości Rotmistrzu nie dla Was te grona.

— Więc niczem ważycie klejnot szlachecki?...

— Cześć z nim przed każdym, lecz gdy tarcza czysta...

— Cóż to, obraza!?... — zawołał Marek.

— Bierzcie jak chcecie, a na dowód co trzymam o Waści samym i o nabajanych mi rzeczach, to oto zaznaczam — i to Jelonek wypowiedziawszy, jednem pociągnięciem ostrego noża, rozciął obrus stół pokrywający, na dwie połowy.*)

Oniemiał w pierwszej chwili z oburzenia Marek, a opamiętawszy się, zaryczał pieniąc się z wściekłości i zaciskając pięście.

— Ty mnie to!!... Ty!... ty!... ty!

— Mądryś panie Rotmistrzu, lecz warząc miodek, sam w ukrop wpadłeś. Idź i ochłódź się. — Odezwał się Jelonek szyderczo.

— Ha! nędzny łyku... odpowiesz mi za to!...

— Milcz i pamiętaj, że jesteś w mieście, gdzie jest prawo i prawa tego strażnicy...

— Głową mi odpłacisz!! — rzucił na odchodne Marek, jak oddalając się szalony.

(C. d. n.)

*) Żołnierz pieszy, czyli drabant.
**) Służba, pilnująca wozy taboru.
***) Przezwisko mieszczan małomiasteczkowych.

*) Tak czyniono kłamcom i ludziom niehonorowym, z którymi dlatego siedzieć społem niechciano.

Odpowiedzialny redaktor: Stanisław Brandowski. Wydawca: Stanisław Tokarski. Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Józefa Ziembińskiego.